



TEODOR MICHALAK

St. strzelec Teodor Michalak, 38 lat, żonaty, robotnik fabryczny.

Zmobilizowany 30 sierpnia 1939 roku do 44 pp w Równem znalazłem się po upływie 20 dni wraz z całym batalionem zapasowym pod dowództwem majora Gołąba w Łucku, gdzie popadliśmy do niewoli sowieckiej.

Pamiętny ten dzień 19 września stanowił oczywiście radykalny zwrot w moim dotychczasowym życiu. Data ta bowiem zapoczątkowała okres tułaczki z miejsca na miejsce, po rozmaitych obozach pracy, okres usilnej agitacji komunistycznej, cierpień moralnych i fizycznych.

Po krótkotrwałym pobycie na terenie rosyjskim (Szepietówka), gdzie przewiezieni zostaliśmy na bardzo krótki czas, wróciliśmy pieszo na terytorium Polski do Zdobunowa, skąd następnie udaliśmy się do Dubna. Ulokowano nas w budynkach chmielarni, zaś cały ciężar zaopatrzenia nas spoczywał na ludności miejscowej, która z własnej inicjatywy zorganizowała akcję mającą na celu uratowanie jeńców od głodu. Po blisko tygodniowym pobycie w Dubnie znaleźliśmy się w Werbach, gdzie zaczęto nas używać od robót drogowych, kopania dołów, karczowania drzew itp. Za pomieszczenia służyły nam budynki tamtejszego tartaku, mocno strzeżone przez *bojców* sowieckich. Dwie „sale” mieściły 1,2 tys. osób ulokowanych na czteropiętrowych pryzmach. Karmiono nas dwa razy dziennie zupą, zaś chleb był dawany w racjach rozmaitych, w zależności od zapasów magazynowych. Warunki higieniczne były fatalne, lekarza w ogóle nie było. Do robót wypędzano pod groźbą rewolweru.

Poprzednią część jeńców wywieziono do Radziwiłtowa, gdzie nadal używano ich do budowania autostrady Nowogród Wołyński – Przemyśl.

Od tego momentu zaczyna się normalna praca, ustalona regulaminem sowieckim, przewidująca normy na wszelkie rodzaje robót, obostrzone do najwyższych granic. Pożywienie

w tym okresie było bardzo marne i stało w rażącym wprost stosunku do wykonywanej pracy. W tym miejscu podkreślić chcę, że znaleźli się wśród nas tacy, którzy – przyjąwszy stanowiska brygadierów – stali się po prostu zaprzedańcami i wyciskali ze swoich towarzyszy niedoli więcej sił aniżeli satrapowie sowieccy. Jeśli jeszcze podkreślić brak wody w obozie radziwiłowskim, można sobie uzmysłowić obraz warunków higienicznych i sanitarnych.

Co się tyczy akcji „uświadamiającej”, komunizującej, to ta była prowadzona systematycznie przez tak zwanych politruków, przy czym trzeba stwierdzić, że zdołała ona wywrzeć pewien wpływ na część jeńców, aczkolwiek nieznaczną. Oczywiście jest rzeczą, że wywołało to szereg waśni między prawdziwymi obywatelami ojczyzny a tymi spodlonymi kreaturami. Z nimi mowy być nie mogło o dobrych stosunkach. Natomiast wśród tej grupy ludzi, którzy bez względu na usilną agitację i fizyczne prześladowania zachowali swoją polskość, stosunki były serdeczne i koleżeńskie.

W obozie Radziwiłów pozostaliśmy do 16 maja 1940 roku. Stąd przewieziono nas do miejscowości Rodatycze, gdzie ulokowano nas w budynkach gospodarskich klasztoru franciszkanek. W miejscowości tej przebywaliśmy trzy tygodnie, po czym przewieziono nas do obozu w Gródku Jagiellońskim. Obiektywnie stwierdzić należy, że warunki życia w tym obozie, zarówno jeśli chodzi o wyżywienie, mieszkanie, jak i stronę higieniczną, były na odpowiednim poziomie. Zawdzięczać to należy szczególnie naczelnikowi obozu Surkowowi, który był w swoim postępowaniu z ludźmi uczciwy i sumienny.

Z tego obozu wróciliśmy do Rodatycz w lipcu i pozostaliśmy tam do lutego 1941.

W Rodatyczach obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia, w nastroju pogodnym, wesołym, przy udziale orkiestry złożonej z jeńców wojennych oraz zaproszonych władz sowieckich, które tym razem ustosunkowały się życzliwie do faktu urzędzenia świąt, mających przecież charakter czysto religijny.

W tym miejscu warto podkreślić, że pierwsza Gwiazdka w niewoli, obchodzona w Radziwiłowie, obchodzona była w smutku i łzach, a ze strony władz sowieckich spotkaliśmy się z aktami niszczenia, deptania urządzonych przez nas choinek.

Następnym etapem naszej wędrówki był Janów koło Lwowa. Obóz ten cechował spadek warunków życia, zarówno pod względem sanitarnym, jak i mieszkaniowym oraz zaprowiantowania. Tu też odbyły się liczne protesty i wstrzymanie się od przyjmowania

w ogóle żywności. Z kolei przenieśliśmy się do Skniłowa pod Lwowem, gdzie użyto nas do budowy lotniska betonowego. Warunki mieszkaniowe były fatalne. Budynki nieopalone, z drewna, brodziło się prawie do połowy ciała w błocie. W obozie tym dostałem się na dwa dni do karceru bez jedzenia, za podarcie gazety, na której widniał wizerunek gabinetu sowieckiego i użyciu jej do skręcania papierosów. Warunki higieniczne były fatalne.

Wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Następnego dnia zebrano nas i ruszyliśmy w kierunku granicy sowieckiej. Odebyliśmy marsz pieszy 800 kilometrów w ciągu 24 dni do miejscowości Złotonosz. Okres ten był najgorszy w całej tej naszej bolesnej epopei. Ludzie upadali ze zmęczenia i wycieńczenia głodem. Odstających od szeregów zabijano, szczuto psami itp. Maszerowano 22 godziny na dobę, zaś odpoczynek był tam, gdzie zastała noc – sypiano pod gołym niebem. Dwukilogramowy chleb stanowił pokarm dla 16 osób, wody zaś zabraniano w ogóle pić. Po jednodniowym pobycie w Złotonoszy przewieziono nas za Połtawę, gdzie pobyliśmy tydzień w warunkach tak fatalnych, że moc ludzi ciężko zaniemogła i odstawiona została do okolicznych kołchozów.

Z Połtawy wyjechaliśmy do Starobielska. Już w czasie drogi dochodziły nas słuchy o zawarciu paktu polsko-sowieckiego i organizowaniu Wojska Polskiego, jednakowoż nikt nie chciał dawać wiary tym słuchom. 1 sierpnia 1941 w Starobielsku zebrano wszystkich znajdujących się w obozie jeńców, a przybyły dygnitarz sowiecki odczytał po rosyjsku tekst paktu polsko-sowieckiego, który został następnie przetłumaczony na język polski. Był to moment niezwykle wzruszający, gdy zebrani odśpiewali „Jeszcze Polska...” i „Boże, coś Polskę...”. Poczuliśmy wówczas, że więź z macierzą jest u nas silna, nierozzerwalna, zrozumieliśmy, że wkrótce nadejdzie chwila naszego wyzwolenia z niewoli, że wejdziemy w skład tworzącej się armii polskiej.

Od tej pory nie brano nas do żadnej pracy, chyba że ludzie dobrowolnie na nią chodzili, warunki zaś wyżywienia i higieniczne polepszyły się znacznie. Musieliśmy jednak przeczekać do 24 sierpnia, w którym to dniu przyjechał do nas ppłk Wiśniowski, który przystąpił do zorganizowania z nas armii. 3 września 1941 wyjechaliśmy do Tocka [Tockoje] i odtąd rozpoczyna się nasza regularna praca w szeregach armii polskiej.